Rozmaitości

Dnia 31. Grudnia Nr 53. 1836 Roku.

WĄWOZ
ANTERNY W SZWAJCARYI.

(Z Bibliothèque universelle.)

Opuściwszy dolinę Chamounix, jedzie się najprzód w dolinę Servoz. Skoro śnieg na okolicznych górach stopnieje, łąki okryją się znowu swoją przyjemną zielonością, a słońce wieczorne szczyty skał ozłoci, wtedy dolina ta wystawia równie śmiejący się, jak dziki widok. Kilka chat widać tam tu i owdzie, a między niemi dom zajezdny, do którego przybyłem wieczorem dnia 12. czerwca.

Rozmaitym sposobem można po Szwajcaryi podróżować. Jedni jadą wielkim gościńcem i to sposób najprostszy, lecz jako młody człowiek, a więcej jako podróżnik badawczy,*) z pogardą zapatrywałem się na takie podróżowanie po dolinach szwajcarskich. Podróżnik badawczy powinien mieć koniecznie szczyty gór, wąwozy, niebezpieczeństwa, cuda — a dla czego? tego wymaga jego natura. Jak osieł wyobraża sobie, że z młyna do domu piekarza można iść tylko drogą najkrótszą, najgładszą, najwygodniejszą, tak przeciwnie sądzi podróżnik badawczy, że z Servoz do Genewy powinno się jechać li najdłuższą, najprzepaścistszą, najszkaradniejszą drogą. Handlarzom, sprzedającym séry, starym ludziom, dzieje się tak, jak owemu osłowi; autorowie, artyści, Anglicy, Alexander Dumas i ja, my wszyscy lubimy jeździć wzorem badawczych podróżników. Dla tego zaraz za mojém przybyciem do zajezdnego domu wywiadywałem się o góry i wąwozy. Powiadano mi o wąwozie Anterny, wązkiéj między szczytami Ficu i pokładami góry Buet wciśnionéj przepaści; mówiono, że ścieżką z trudnością tam dostać się można, że szczyt góry jest chropowaty i łysy; takiéj drogi życzyłem sobie właśnie, a więc postanowiłem udać się nią w towarzystwie dobrego przewodnika. Lecz, jak na nieszczęście, nie było tam żadnego; wspominano o jakimś strzelcu kóz dzikich, który może byłby mi towarzyszył, lecz tego już zamówił pewien Anglik, jadący do Sixt tą samą drogą, którą ja obrałem.

W domu zajezdnym zastałem Anglika na progu. Byłto *gentleman* dosyć dobrze z powierzchowności wyglądający, czysto i dobrze ubrany, z miny zakrawał na pana, bo się nie odkłonił, gdy się mu, przechodząc koło niego, kłaniałem; to w Anglii uchodzi za dobry ton, za dobre wychowanie, za ułożenie salonowe. Dowiedziawszy się, że owego człowieka, który mógł mnie przez górzyste wąwozy Anterny prowadzić, Anglik już najął, udałem się do niego, prosząc go, by mi pozwolił złączyć się z sobą w podróży, a chciałem wziąć na siebie połowę zapłaty przewodnika.

Anglik siedział na przeciw góry Mont-Blanc, na którą wszakże ani popatrzyć raczył. Ziewnął, i ja także, dla okazania mu swojéj sympatyi. Milczałem przez kilka minut, w ciągu których obeznawszy już z osobą moją milorda, uważałem się niejako, jak gdybym był mu przedstawiony i wprowadzony do jego towarzystwa. Upatrzywszy więc chwilę stosowną do rozmowy, i niby od niechcenia, rzekłem z cicha: »Co za piękny, co za spaniały widok!«

Milord na głos mój ani ruszyć się, ani odpowiedzieć nie raczył. Przystąpiłem bliżéj do niego i rzekłem z grzecznością: »Pan jedziesz zapewne z Chamounix?« — »*Ui.*« — »I ja ztamtąd dziś rano wyjechałem;« Anglik ziewnął po raz drugi; »nie miałem przyjemności

*) Francuzi takich podróżników *touriste* nazywają.

zdybania pana w drodze. Musiałeś jechać przez wąwoz Balmy?« — »*No.*« — »Albo może przez Prarion?« — »*No.*« — »Przybyłem tu wczoraj przez Tete-Noire i zamyślam jutro wąwozem Anterny jechać dalej, skoro przewodnika znajdę. Pan masz już przedwodnika, jak słyszałem?« — »*Ui.*« — »*Ui! No!* do licha z takiemi odpowiedziami!« rzekłem sam do siebie; ale postanowiłem dokazać swego. »Czy nie byłobyto niedyskrecyją mój panie, gdybym na przypadek niedostania przewodnika, upraszał, bym się mógł przyłączyć do pana, płacąc przewodnikowi połowę.« — »*Ui. Il y avé de l'indiscréchon* (Tak jest, byłobyto niedyskrecyją).« — »Więc nie upiéram się o to,« odrzekłem i oddaliłem się, mocno zadowolony tą rozmową.

Nié ma piękniejszych godzin do podróży, jak godziny wieczorne, w których człowiek na łos szczęścia szukając przypadków, po samotnéj i dzikiéj przechadza się okolicy, nié ma nic więcéj do czynienia, jak tylko na wszystko patrzyć, co mu pod oczy podpada, z przechodzącymi wejść w pogadankę, i apetyt już znacznie pochodem wzniecony, bardziéj jeszcze zaostrzyć. Powoli szedłem ku okrytéj ruinami skale, którą Mont St. Michel nazywają. Dwie kozy tam się pasły; te za mojém uciekłszy przybyciem, samego mię zostawiły. Usiadłem pod olchami, które obficie tam rosną.

Nie jestto bynajmniéj wstępem do jakich nadzwyczajnych wypadków. Czytelnik niech się tu niczego nie spodziéwa. Siedziałem, i na tém koniec. Ale i tego było dosyć ze mnie w tém miejscu i o téj godzinie. Na dolinie już cienie nocy spoczywały; lecz gdzie taż otwiérała się ku blizkiej górze Mont-Blanc, tam majestatyczne lodowce, których szczyty odbijają się przepysznie na ciemnym błękicie nieba, rozjaśnione i ubarwione są światłem skrytego za górami słońca. Im głębiej zapada słońce, tym bledsze jest światło jego po płaszczyznach i przepaściach; a skoro ostatni swój promień na ostatnim gór szczycie zagasi, zdaje się natenczas, że i życie naturę opuszcza. Rozkoszą uniesione zmysły niejako do gór owych przylgnąwszy, na raz przypomniały sobie dolinę, lice uczuło świeży powiéw wiatru, ucho usłyszało łoskot strumienia, a duch ztąpił z melancholijnych gór szczytów i pomyślił o — wieczerzy... Tymczasem nadszedł pastérz dla spędzenia kóz swoich z paszy. Powracając przyłączyłem się do niego. Poczciwiec znał cokolwiek wąwoz Anterny; już chciałem mu zaprojektować, ażeby mi nazajutrz przewodniczył, lecz postrzegłszy w nim niezwykły brak odwagi, wstrzymałem się z moim projektem. »Prości ludzie chodzą tam czasem,« rzekł, »ale nie panowie! Tam śniég po kolana. Nié ma temu ośmiu dni, jak dwa wieprze Pierrego zagrzęzły, a z niemi jego żona, która je z targu w Samions gnała. Dwa dorosłe wieprze! gdyby je była piérwéj sprzedała, toby przynajmniéj były się pieniądze znalazły. Powiadam panu, że tamtędy nie dobrze chodzić w czerwcu.« Oparty na wiadomościach znajdujących się w wydanéj dla podróżnych książce, twierdziłem, że wąwoz Anterny jest bardzo łatwym do przebycia, ponieważ nie więcéj, jak na 7086 stóp wznosi się nad powiérzchnią morza, podczas gdy warsty śniegu znajdują się dopiéro na wysokości stóp 7812. Gdy pastérza dowodami swojemi nie ze wszystkiém przekonać mógłem, dobyłem ołówka i na okładce książki zrobiłem zwycięzką subtrakcyję, dowodząc, że od najwyższego wiérzchołku wąwozu miéć jeszcze będziemy 726 stóp nagich skał, przeto ani śniegu, ani lodu lękać się nie należy. »*Ma, s'a fiaz* (nie trzeba dowierzać),« rzekł pastérz w swojém narzeczu; »nie rozumiém się na liczbach pańskich, ale przypominam sobie właśnie, przed dwoma laty, w tymże miesiącu, ugrzązł tam pewien Anglik i nie powrócił więcéj. Byłto syn, widziałem ojca jego we łzach i w żałobie. Przyjmowano go w gospodzie jak tylko można najlepiéj, dawano mu mięso, suche orzechy i pieczenię, lecz nie chciał niczego, tylko syna. Za trzydzieści sześć godzin dano mu trupa za syna.« Człowiek ten zdawał się być w widocznym błędzie, bowiem książka moja dla podróżnych niezaprzeczone zawiérała prawdy, a subtrakcyja była niezbitą. Pragnąłem z resztą doznać niebezpieczeństw, a w przekonaniu będąc, że pastérz rzeczy, może i poniekąd prawdziwe, zwyczajem bojaźliwych ludzi przesadza, właśnie wąwoz Anterny znalazłem pomiędzy wszystkiemi wąwozami najstosowniejszym dla mojego sposobu myślenia. Przeto trwałem w powziętém postanowieniu; moja wyborna przewodnicza książka miała mi służyć za wskaziciela, a oprócz tego ułożyłem

sobie, że zaraz za Anglikiem się udam, ażebym z daleka za jego postępował śladem.

Powróciwszy do zajezdnego domu zastałem już wieczerzę na stole; mały stolik był dla mnie nakryty, drugi dla milorda, wieczerzającego z młodą damą, córką swoją, której jeszcze nie widziałem. Byłato świeża piękność; jéj zachowanie się było przyjemne, atoli pomieszane z wymuszoną powagą, jak się to często między młodémi Angielkami z klasy arystokratycznéj widzieć daje. Rozumiém język angielski i mógłem był korzystać z ich społeczeństwa, nie mieszając się nawet do rozmowy, lecz Angielka bardzo mało mówiła i oboje wyrazami pełnémi dumy i przesady z największém poniżeniem dawali zdanie o usłudze, potrawach i o podejrzanéj czystości naczyń stołowych. Potrawy były dziwnie dobrane i jeszcze dziwniejszy był ich rozkład. Panna kazała sobie podać wielki kawał biwsztyku, a pięknémi ustkami swojemi wypróżniła dwa pełne kielichy wina, które zapewne z ich podróżnych zapasów pochodziło. Milord tymczasem trudnił się robieniem herbaty, która jego wieczerzą być miała. Czynność tę odbywał z ową aż w drobnostki wpadającą starannością, i z ową przesadą, z jaką Anglicy *comme il faut* zwykli czynności takie wykonywać. Lubo cały dom zajezdny był w ruchu przy robieniu téj herbaty, i lubo zdawało się, że każdy byłby skoczył w ogień dla nadania jéj, ile możności, jak największéj dobroci, milord wszelako to nadskakiwanie gospodarza i jego familii przyjmował z owym kwaśnym humorem, który Anglików z wyższego stanu, tak w podróży, w domach zajezdnych, jakoteż na stałym lądzie odznacza.

Z końcem wieczerzy przybył przewodnik: »Panie! musimy rano puścić się w drogę. Patrzałem jak tam na dworze; około południa będziemy mieli burzę. Źle na górach, bo śniegu wiele; parasolik panny nie wiele pomoże.« Widocznie gorszył milorda ten poufały sposób wyrażania się przewodnika. Nim odpowiedział, wszedł w rozmowę z córką.

Dla większéj wyrazistości i ażeby czytelnikowi dokładniéj rzecz wystawić, następującą rozmowę dajemy w owym przyjemnym dla ucha dyjalekcie, jakiego mówiący po francuzku Anglicy używają: Milord do córki: »*Cette guide ave june très irréverencious manière* (Ten przewodnik bardzo nie z uszanowaniem postępuje).« — »*Il me paraissé june stiupid. Disé a lui, que je ne voulé paartir, que si le ciel n'avé pas june niuage* (To jakiś głupi człowiek. Niech mu papa powié, że wtedy tylko pojadę, gdy ani chmurki na niebie nie będzie).« — Milord do przewodnika: »*Je ne voulé paartir, que quand la ciel n'avé pas june seule niuage* (Pojadę wtedy, gdy ani chmurki na niebie nie będzie).« — »To nie oto chodzi,« rzekł przewodnik; »powiadam panu naprzód, że z rana będą chmury, ale dla tego też trzeba rano jechać. Mnieto pan zostaw, już ja znam dobrze i powietrze i miejscowość.« — Milord do córki: »*C'été june fourbe* (To oszust).« Do przewodnika: »*Je disé á vos, que je ne voulé paartir, que quand la ciel n'avé pas june junique niuage!* (Mówię raz, że wtedy tylko pojadę, gdy ani chmurki na niebie nie będzie.)« — »Jak pan chcesz, to do pana należy. W zakład idę, że się niebo około godziny dziewiątéj wyjaśni. Połóżmy nawet, że pan wyjedziesz około godziny dziewiątej, powiadam zawsze, iż około południa będzie burza, a wtedy będziemy właśnie pośród samego śniegu. Gdy zaś z rana wyjedziemy, to w południe staniemy w Sixt, a natenczas z burzą niech się dzieje, co chce.« — Milord do swojéj córki: *C'eté june fourbe. Comprené vous le chose, Clara? Il connaissé, qu'il faise mauvais temps demain, et il voulé nous engager á commencer la journée de grande matin, parce que, plus tard, il faisé la pluie et il perdé son aagent* (To oszust. Czy rozumiesz Klaro, o co mu idzie? Wié, że jutro będzie słota, przeto chce nas namówić, byśmy rano wyjechali, bo poźniéj deszcz będzie padał, więc straciłby pieniądze).« — »*Je croyé aussi* (I ja tak sądzę).« — »*Cet hommes été tute remarquablement voleurs* (Ci ludzie sąto sami sławni rabusie).« — »*Tute. Ordonné lui votre volonté; il été bien attrapé* (Sami rabusie; niech mu papa oznajmi swoję wolę, dobrześmy z niego zażartowali).« — Milord do przewodnika: »*Mon ami, je distingué parfaitement bien voter estratadgem! Je ne voulé partir, que quand la ciel il n'avé pas plius de niuage, que siur cette plate...*« Do Klary: »*How do you say plate, Clara?*« (Przyjacielu, przewiduję twój podstęp. Wtedy tylko wyjadę, gdy na niebie będzie tak czysto,

jak na tym talérzu. Do Klary: Jak się nazywa talérz?)« — Klara: »*Assiette.*« — »*Que sur cette assiette. Entendez vos?* (Jak na tym talérzu, rozumiész mię?)« — »Rozumiém, rozumiém, przecież to głupstwo. Ale stój, sprowadzę państwu Pierra. Niech powié, co ze świniami swojemi ucierpiał.« — »*Je défendé vos d'aménér des cochons.* (Zakazuję ci sprowadzać świnie).« — »Tylko dla udowodnienia panu.« — »*Je défendé vos.* (Zakazuję).« — »Jak pan chcesz.« — »*Je défendé, diabel!* (Zakazuję, do diabła).«

Przewodnik odszedł, przeto w brew zwyczajowi mojemu dopiéro nazajutrz z rana godzinę odjazdu postanowić mógłem. Chętnie byłbym dał wiarę twierdzeniom przewodnika, ale ponieważ nie miałem głosu w téj radzie, więc los mój z losem milorda złączyć musiałem. Przewodnicy idą zwykle za własném zdaniem. Mimo przeciwnych rozkazów strzelec kóz dzikich przybył skoro świt, narobił hałasu, obudził milorda i do odjazdu naglił. Milord z najdotkliwszéj strony obrażony hałasem, jaki przy budzeniu strzelec robił, wstał z łóżka, wystawił nos przez okno, i nie mógł już wstrzymać się, ażeby nie okazał w najwyższym stopniu nieukontentowania swojego, widząc niebo chmurami okryte: »*Vos èté june fourbe, monsieur, june fourbe!* (Jesteś oszustem mój panie, oszustem!)« wołał na przewodnika przeze drzwi; »*Je connaissé votor estratadgem! je connaissé!... je declaré encore june fois, que je ne parte pas, s'il y avé june sieul niuadge junique dans tete la circumférence de la firmamente! Alle vos-en! Tute suit! Tute...* (Znam dobrze twój podstęp. Raz jeszcze oświadczam, że nie pojadę, skoro jedna chmurka tylko będzie na niebie. Idź precz, ruszaj!)« Mrucząc oddalił się przewodnik, nie domyśliwając się powodu tak niegrzecznego postępowania. Meteorologiczne przepowiednie jego wkrótce się jednak spełniły.

Już około godziny ósméj przedarło słońce ową pokrywę z chmur, która dotąd była nad doliną rozpostartą, i w całéj okazałości zajaśniało na czystym niebios namiocie, rozbiwszy zupełnie lżejsze mgły bałwany. Teraz dopiéro skłonił się milord z córką swoją do wyjazdu, wsiedli na muły, które już od dwóch godzin osiodłane czekały nań przed domem zajezdnym i w towarzystwie przewodnika ruszyli w drogę. Trzeci muł niósł ich rzeczy do Sixt, drogą wygodniejszą i krótszą. We dwadzieścia minut po ich wyjeździe wziąłem tłumoczek na plecy i za niémi poszedłem.

Góra, pod którą iść musieliśmy, przedstawiała malowniczy i zajmujący widok. Do połowéj widać spaniałe drzew grupy, najprzód drzewa orzechowe, dałéj buki z jodłami pomieszane, dałéj jeszcze pojawiają się piérwsze brzozy z drżącémi liściami i z wysmukłémi, srebrem powleczonémi pniami, nareszcie okazują się skały Ficu, tworzące długie, ku Sallanche ciągnące się pasmo, które się w majestatycznym szczycie Wareńskim jednocząc, coraz stromiéj i groźniéj piętrują ku obłokom, im bliżéj ku tym skałom przystępujemy. Wylewy wód wydrążyły pokłady z kamienia, one wodospadami tylekrotnie zaléwane, ostatnią razą w zeszłém stuleciu, ukształciły te dzikie wesołémi drzewami przeplatane gór urwiska, pod którémi tyle trupów spoczywa, a nawet włość nie jedna. Odważni myśliwi, wdziérając się niekiedy na górę Fic, powiadają, że na jéj dzikich szczytach znajduje się posępne, głębokie jezioro, o którém w okolicy dziwne prawią rzeczy.

Ostatnia wioska, przez którą się z Servoz przybywa, jestto włość Dumont. Zastanowiło mię spustoszenie, widoczne w téj małéj wiosce, gdzie nie zastałem ani mieszkańców, ani żadnego źwiérzęcia. Zatrzymałem się u studni, ale nikt nie przybywał, kogobym się był mógł o przyczynę tego spustoszenia zapytać. Dobrze, iż nikogo nie było, bo byłbym smutną usłyszał powieść. Nazajutrz mój woźnica, gdyśmy do Bonneville wjeżdżali, wskazał mi palcem więzienie, w którém zamknięci byli wszyscy nieszczęśliwi mieszkańce téj włości. Historyja tych ludzi jest bardzo smutna. Włość ta, jak inne w dolinie, była zasobną w dobre mienie i cnoty; pracowitość i prostota obyczajów dawały jéj mieszkańcom skromny, ale porządny, dobry byt; pokolenia jedne po drugich następowały, odosobnione wprawdzie od ludzi, lecz żyjące w spokoju i zgodzie. Tymczasem w końcu wojen cesarstwa wróciło kilku ludzi do téj włości i przynieśli z sobą do ojczyzny, jako zwyczaje, próżniactwo i rozmaite niecnoty, za granicą sobie przyswojone. Uczyli, jak w innych krajach nie dbają o kościoł i wyśmiéwają księży; opowiadali swoim ziomkom, jak w Paryżu cenieni są Sabauczykowie, i jak ciż, za nietrudne nawet usługi, w kilku latach do znacznych przychodzą pieniędzy. Wielu było takich, co się uwieść dali, i opuściwszy ojczyznę, dopiéro po kilku latach włóczęgi powrócili. Przynieśli wprawdzie pieniądze, ale oraz występki i szkaradne hultajstwo, dotąd we włości nieznane; nauczyli się trwonić grosz zarobiony i w końcu stało się to dla nich potrzebą. Pogarda dawnych zasad, lekceważenie zwyczajów wiejskich i obyczajów religijnych, zaczęły się przyjmować w ich włości, zepsucie rozkrzewiło się i wdarło w głąb wszystkich rodzin. Zbytek, choroby i nędza zniszczyły te niegdyś silne, zdrowe i zamożne rodziny i mała gmina ta, próżniactwem i nieporządkiem do szczętu zrujnowana i łącząca się jeszcze tylko węzłami występku i potrzeby, zawarła po kilku latach szkaradny z sobą związek przeciw gmin sąsiednich własności. Przywłaszczała sobie cudze

bydło, kłóciła się o prawa, które jéj nie przynależały, wdziérała się do obcych posiadłości i u sądu za pomocą fałszywego świadectwa i fałszywéj godnéj przeklęstwa razem złożonéj przysięgi, wygrała prowadzony o to proces. Nareszcie przebrała miarę zbrodni, ojców i matki wtrącono do więzienia, a dzieci, wygnane i rozproszone po świecie, u drzwi cudzych lub na bruku po miastach gorzko zbiérały jałmużnę.

Jak na szczęście nie wiedziałem o téj historyi. Siedząc u studni podziwiałem kryształ pieniącéj cię wody. Wyobrażałem sobie, że mieszkańcy opuszczonéj włości, których przed progiem chat nie zastałem, pracowali w lesie, lub pognali bydło na paszę. Bo czyliż w tém ukrytém miejscu, pod temi przyjemnémi cieniami drzew, mógłem pomyśléć o mieszkańcach, trawionych występkami, które ludność miast wielkich pożérają! Czyliż pośród Alp nie należało mi się spodziéwać znaleźć ów powab niewinności, którego tam zwykle, jak w świętém schronieniu, szukamy!? Często po zniknieniu nawet ułudy trudno się nam jéj wyrzéc, nas bowiem mieszkańców miast wskroś przejmuje wielkość natury, przemawia do nas owa błoga cisza w górach, nasze serce unosi się i oczyszcza, zdaje się odzyskiwać swoję piérwotną niewinność, nie pozostawia miejsca dla występku i namiętności i udziela wszystkim przedmiotom tego wdzięku, którym samo jest upojone. I ja wdzięk ten w całéj czystości uczuwałem.

Około godziny dziewiątéj rozpostarły się chmury nad głębokiemi przepaściami; góra Mont-Blanc mgławy przybrała widok, a od południa zimny wiatr powiewał. Przypomniałem sobie przepowiednie przewodnika, najwięcéj jednak dla tego, ażeby śmiać się z poczciwego lorda, który, ażeby nie wpaść w urojoną łapkę, wpadł w istotną, którą sam sobie zastawił. Gdy rzadszémi zaczęły być zarośle, a urwisko więcéj prostopadłém, oba muły widziałem nad moją głową. Milord jechał z córką nie mówiąc ani słowa i dopiéro weszli w rozmowę, gdy strzelec kóz dzikich, prowadzący muła Angielki, raptem się, dla pokazania jéj czegoś, zatrzymał. Przewodnicy pokazują podróżnym w oném miejscu plamę koloru żółtawego, widoą bardzo wysoko na ścianie góry Fiz. Plamę tę nazywają *Homme de Fiz*, twierdzą bowiem, że ona tak wygląda, jak żółte spodnie, podczas gdy według ich wyobrażenia inne widoki w koło uzupełniają postać olbrzyma. Na tę więc osobliwość robił przewodnik Angielkę uważną, i ażeby jéj pokazać owego męża góry, wskazał na spodnie. Wiadomo, jaka nieprzyzwoitość zawarta jest dla ucha angielskiego w tém słowie; zaledwo je wymówił, już wyraz przesadzonéj skromności odmalował się na obliczu Angielki, a lice milorda przybrało nader komiczne oburzenie. »Tam w górze po lewéj żółte spodnie!« powtórzył przewodnik. — »*Je defende vous, guide, de dire cette mote!* (Zakazuję ci przewodniku wspominać to słowo).« — »Nie widzisz pan tam, na końcu mojéj laski... żółte spodnie?!« Dwa razy większy rumieniec okrył lice Angielki, a milord rozgniewany tém powtórzeniem przewodnika, zawołał: »*Vos été june malproper, monsier! j'avé dité á vos de ne pas prononcér sette sale mote! Je payé vos, c'été vos d'avoir de l'obédience.* (Jesteś sprośnym mój panie, mówiłem ci, ażebyś tego brzydkiego słowa nie powtarzał. Płacę ci, a zatém bądź posłusznym.)« Do córki: »*Pique la miulette, Clare* (Popędź muła Klara)«.«

Karawana ruszyła daléj w podróż. Przewodnik, prosty strzelec kóz dzikich, i nie przewodnik z profesyi, jak owi z Chamounix, coraz mniéj wiedział, jak sobie począć. Lecz mając wzgląd na obiecaną mu płacę, nie był wiele uważającym, dobył fajki z kieszeni, nałożył tytoniem i zaczął ognia krzesać. Klara do milorda: »*Oh, le détéstabel perfiume si cette garson voulé fiumer son pipe* (Szkaradny zapach będzie jak ten człowiek zechce palić tytoń).« — Milord do Klary: »*Je n'avé pas connaissé june si intolérabel homme* (Nie znałem jeszcze tak nieznośnego człowieka).« Do przewodnika: »*Je defende vos, guide, de fiumer, puorquoi mon fille craigné le perfiume.* (Przewodniku, zakazuję ci palić, bo moja córka zapachu tytoniu nie lubi).« — »Mój tytoń nie śmierdzi, bardzo jest dobry.« — »*C'est june perfiume mauvais, je défendé vos!* (Szkaradny powiadam tobie, zakazuję palić).« — »Niech i tak będzie, muł spokojny, to pójdę z tyłu.« — Klara: »*Oh! Oh! ne quitté pas la miulette.* (O! nie odchodź od muła.)« — Milord: »*Ne quitte pas! Ohe! what fellow we have there! Je défendé vos de fiumer! Si vos fiumé, je refiuse absolément de paier vos.* (Nie odchodź. Co za łotra mamy z sobą! zakazuję palić tytoń. Jak będziesz palił, to ci nie zapłacę.)« — »Dobrze, dobrze; co to za ludzie, wolałbym z diabłem miéć do czynienia,« przebąknął strzelec kóz dzikich i schował fajkę do kieszeni. »Spieszmy się, burza się zbliża, trzeba nam przynajmniéj śniegi przebyć.«

Niebo w istocie okryło się chmurami, wszystkie gór szczyty utonęły w mgle niepogody, a wichr gwałtowny wirem z urwisk proch w górę pomiatał. Jużeśmy ze trzy godziny szli w górę, a szczyt wąwozu jeszcze był znacznie oddalony. Przybywszy do skał góry Fiz, gdzie oraz widzieliśmy ostatnie ślady wegetacyi, warstwy kamieni zakrywały widok doliny Servoz. Zmieniła się scena, po lewéj były prostopadłe skały, po prawéj kotliny Bueta, z nagich kamieni i z lodu składające się.

Okolica w około nas była posępna i pusta, przeplatana gdzie niegdzie białémi płatami śniegu, które coraz częściej napotykane, stały się w końcu jedną nieprzerwaną niczem pokrywą. Milord do Klary: »*J'ave le suspicion, que cette drôle ne connaissé pas la true chemin.* (Mam podejrzenie, że ten głupiec nie zna drogi).« — »*J'avé aussi* (I mnie się tak zdaje), z trwogą odrzekła Klara. — Milord do przewodnika: »*Vos mené nous dans june mauvaisse, guide!* (Prowadzisz nas złą drogą przewodniku).« — »Nie ma co skarg rozwodzić. Czekajmy aż na górze będziemy, a teraz ruszajmy naprzód.« — Klara do milorda: »*Oh! je craigne beaucoups, mon pére* (Zaczynam się lękać mój ojcze).« — »Tylko spieszno, naprzód. Nie chcieliście mnie państwo wczoraj słuchać, teraz patrzmy, jakby się wydobyć z téj biedy.« — »*Je voulé ritourner! ritourner absoliument!* (Ja się wrócę, ja się wrócę),« wołała z wielkim przestrachem Angielka. — »Teraz nie można panienko, lubo daleko lepiéj byłoby dla nas, gdybyśmy się w téj chwili już po tamtéj stronie góry znajdowali.« — »*Arretez la miulette, guide, arrétez!* (Zatrzymaj muła),« rzekł milord. Przewodnik nie słuchał tego rozkazu. »Stój!« wołała Angielka. »Stój!« wołał Anglik. Nie zatrzymując się, ani na wołanie nie odpowiadając, przewodnik z największą uwagą na niebo poglądał. »Źle z nami,« rzekł i raptem wstrzymał muły, »Panie, panno, trzeba zsiąść z mułów.« — »*Descender!?* (Zsiąść),« krzyknęli oboje. — »I to jak najprędzéj! Wracać już niepodobna. Burza z tyłu zachwytuje nas; wiatr ją ku nam spieszno napędza. Teraz oto tylko starać się potrzeba, by nas nie doścignęła. Wąwoz daleko jeszcze, idąc tak prosto, zginęlibyśmy, nimbyśmy do niego dostać się mogli. Prędzéj zdążymy do celu udawszy się tem urwiskiem na lewo; tam już nas wicher nie dogoni. Złaźcie, a prędko! Muły same znajdą sobie drogę! A złaźcież!«

Oziębłość tego człowieka sprawiła na milordzie przynależny skutek, podczas gdy słowa tegoż wielką w nim niespokojność wzbudzały. Nic nie rzekłszy, zsiadł z muła.

Teraz zbliżyłem się do nich. Angielka drżała na całém ciele. Nie prosząc o pozwolenie pomogłem jéj zsiąść z muła, mówiąc jéj przytém kilka słów pocieszających. Na twarzy ojca malował się wyraz największego przestrachu, patrząc jak delikatne nóżki córki głęboko w śniegu brodziły. »Przewodniku!« rzekłem do tego człowieka, który z największym pospiechem strzemiona do siodeł mułów przymocowywał; »od ciebie teraz zależy wybawić nas z niebezpieczeństwa. Słyszałem o twojéj sile i odwadze: jestes Felisaz, ów najzręczniejszy strzelec doliny; w tobie całą naszę ufność pokładamy!« Potém do milorda zwróciłem mowę: »Nie bój się panie, i jam silny i do gór przyzwyczajony. Przewodnik i ja będziemy wspierać pannę, gdyby w nadmiarze utrudzenia niedz miała.« — »*Oblidge!* (Mocno obowiązany)« odrzekł milord w zupełnem z przestrachu roztargnieniu.

Nie byłem wprawdzie przelękniony w tym stopniu jak Anglik, lecz pewnéj wewnętrznéj trwogi pozbyć się jednak nie mogłem. Słyszane wczoraj wieczorem opowiadanie pasterza, przypomniawszy się mojéj wyobraźni, wystawiało mi położenie nasze bardzo niebezpiecznćm. Człowiek ów kreślił mi ze wszelkiemi szczegółami śmierć młodego Anglika i smutny zgon żony Pierrego; mniemałem, że w okropnéj prawdzie to samo na nas się powtórzy. Nieszczęśliwa doszła aż do szczytu, lecz tam sił jéj zabrakło, nie mogła uciekać i w kilku minutach padła trupem powalona od burzy. Wichr tam panujący wpadając bowiem w zakręty wązkich pieczar, wiruje w nich z największą mocą i pędzi ogromne masy śniegu, przywalając wszystko, co we wściekłości swojéj zachwyci.

Tą razą byłto także wir taki, który, jak gdyby powstając z przepaści dolin, zdawał się nas nieochybnie pochłaniać. Przewodnik obaczywszy go i daleko pierwéj, nimeśmy się niebezpieczeństwa domyślali, już go więcéj z oka nie spuszczał; bystrym umysłem mierzył jego odległość, zgadywał kierunek i równie stanowczym jak prędkim wyrażał wzrokiem, że należy nam jak najspieszniéj dostać się pod spadzistość góry, jeźli w burzy zginąć nie chcemy. Robiliśmy co kazał. Zaledwo muły uwolniono, wnet z największą uciekły szybkością, z głowami do góry zadartémi, z nozdrzami przeciw wiatru. Wiedzione instynktem opuściły ścieżkę i rzuciły się w lewo, by burzliwego wichru uniknąć, a potém wpadłszy w głęboki wąwoz, wkrótce nam z oczów znikęły. »Naprzód! Spieszmy się!« wołał nieustannie przewodnik. Lecz spadzistość góry tak była stroma, że i najwprawnieiszy myśliwiec, nie byłby się tam utrzymał bez śniegu, który się pod nogami gromadził. Nagleniem przewodnika więcéj niepokojeni jak utwierdzeni w odwadze, mimo tego sprzyjającego nam wydarzenia, zaledwośmy cokolwiek naprzód postąpili. Angielka usiłując przytłumić bojaźń, dla pokrycia trwogi, która jéj ojcu zdawała się odbierać przytomność, chciała z największém natężeniem utrzymać się na nogach, lecz jéj siły powoli się wyczerpały, a z początku z pewnćm tylko pomieszaniem pomoc méj ręki przyjąwszy, co wrodzonéj wstydliwości skutkiem było, teraz już zupełnie zwiesiła się na moje ramię, tak, że nie tylko ją podpierałem, ale niosłem prawie. Sam byłem osłabiony, zdawało mi się co chwila, iż i mnie siły opuszczą, ale niebezpieczeństwo, w jakiem Angielka zostawała, ożywiając moję odwagę, do nowych wzmacniało mię natężeń. Nareszcie dostała się na małą płaszczyznę. Tam zostawiliśmy ją samę, bowiem położenie jéj ojca zajmowało całą naszę troskliwość.

Dziwny przypadek powiększył jeszcze nieszczęście biednego lorda. Chcąc postępowaniem w zygzak uniknąć chropowatości góry, natrafił na ukryty w śniegu, na równowadze spoczywający kawał skały. Ciężarem ciała zachwiał cokolwiek tę ogromną masę, co go takim nabawiło strachem, że nawet nie mogąc przeleźć przez skałę, drżący na kolana upadł. Twarz jego wyglądała blado i zmieniono; córka widząc go w tym smutnym stanie, wskrzyknęła z rozpaczy, a my prawdziwie nie wiedzieliśmy, co począć. »Zostawcie mię,« rzekł, »a ratujcie moje dziecko.« — »Nabierz odwagi panie,« pocieszał przewodnik; »to nic nie jest.« A obróciwszy się do mnie, rzecze: »Musiemy go nieść.« Połączywszy więc siły nasze, udało się nam nareszcie, śród niewymownych trudów, z milordem także dostać się na płaszczyznę.

Było tam miejsce na parę stóp, które wiatr nieustannie zwiewając, ze śniegu ogołocił. Na to więc miejscę zeszliśmy się wszystko czworo. Burza coraz więcéj zbliżała się. »Nie możemy tutaj odpoczywać,« rzekł przewodnik, »ja poniosę pana, bo cięższy, a pan weź pannę. Potrzebujemy tylko spuścić się na dół, ale śniegiem na stóp dwadzieścia. Idź pan prosto za mojemi śladami; pamiętaj o tém; tym sposobem ominiesz doły około skał się znajdujące. Śmiało panie, śmiało panno! To nie jeszcze dotąd, ale burza może nas tu zaskoczyć.«

Mówiąc to przewodnik, dobył skórzanego naczynia, w którem było jeszcze kilka kropel prostéj w téj okolicy robionéj wódki. »Jesteśmy jak na wojnie, więc trzeba łyknąć,« rzekł i podał bukłak Angielcę, która skosztowawszy cokolwiek, z wdzięcznym mu go uśmiechem oddała. Przewodnik podał go potém milordowi, a nakoniec mnie. Zdawał się być próżnym: »Na ciebie teraz kolej przewodniku,« rzekłem. — »Pijno pan,« odrzekł, przygotowując się iść daléj, »jeźli tam tylko jest co jeszcze.« Potém pojrzał w górę i przerażony widokiem nieba, krzyknął raptownie: »Uciekajmy!« Jak ogromny słup zbliżał się wir burzliwy, i już szczyty góry Pic zakrył po lewéj stronie. Wódka ożywiła cokolwiek siły nasze i zaczęliśmy na dół schodzić. Ale zaraz z początku nie-

przebyte pokazały się trudności. Śnieg na odwrotnéj stronie góry, nie będąc wystawiony na wiatr mroźny, zwykle po drugiéj stronie wiejący, był bardzo miękki. Zapadaliśmy aż po pas. Śniegiem rozwilgocone suknie Angielki, sprawiając nieznośne zimno i przylepiając się do nóg, wszelki ruch wolny tamowały. To ją co chwila zatrzymywało, a ja w takiém położeniu bynajmniéj pomódz jéj nie mogłem. Postrzegłszy to przewodnik, rzekł sam do siebie: »Głupiec ze mnie, trzeba jéjto było tam na górze powiedzieć... Niech panna, wzorem niewiast naszego kraju, z sukni spodnie zrobi.« Angielka, aczkolwiek ze wstrętem trochę, bez przesadzonéj jednak skromności, zabrała się do dzieła, i za pomocą kilku szpilek zrobiła z sukni buchaste szarawary, przezco daleko jéj łatwiéj było iść daléj. Milord zajmował się jedynie troskliwością o córkę. »*Oblidge!*« mówił do mnie za każdym krokiem: »*Mon Dieu! mon Dieu! guide, été ce longs temps encore comme cela*? (Mój Boże! przewodniku, czy długo tak iść będziemy).« — »Stój!« krzyknął przewodnik, »jużeśmy uratowani; ale teraz popatrzcie państwo tam, którędyśmy iść musieli.« Na te słowa, jak gdyby wspólnym przeniknieni ruchem, rozskoczywszy się, milcząc poglądaliśmy ku wskazanéj stronie. Wicher burzliwy łamał się tam z okropném wyciem. Olbrzymie masy śniegu odbijały się od skał w powietrze, a zachwycone burzą, tak uderzały o siebie, że wydawały się jak chmury burzliwe, od wszystkich rozpuszczonych wiatrów rozdzierane. Na widok téj okropności pojrzał milord na córkę, a uważając ją za ocaloną od straszliwéj śmierci, i pełen wewnętrznego uczucia, chciał ją wziąć w swoje objęcie — lecz ta sama wzruszona wewnątrz, i przeniknona zimnem, utraciła przytomność. Natychmiast zdjąłem surdut, obwinąłem nim Angielkę, i oparłem ją o siebie, a tymczasem ojciec dobył z mojego tłumoczka kilka par innych sukien, któremi jéj sgrętwiałe osłanialiśmy członki. Otworzyła oczy, a mocny rumieniec wystąpił na jéj lice, gdy się w mojém objęciu ujrzała. »Już lepiéj teraz,« rzekłem do milorda; weź pan znowu przewodnika za rękę i idźmy daléj. Ja poniosę pannę, dopokąd nie dostaniemy się na wygodniejszą drogę.« Słabym głosem przemówiła Angielka: »Dziękuję panu... niech papa idzie... proszę.« Objęła mnie rękoma za szyję i trzymała się mocno, by mi ulgę sprawić. »Kiedy tak idzie,« rzekł przewodnik, »to weźmy się na prawo! Wiém tam jeden szałasz.«

Nie minęło dwudziestu minut, a poczciwy ten człowiek zaprowadził nas do nędznego pasterskiego szałaszu, kominem tylko wystającego z dużego śniegu, którym był zasypany. Szałasze takie są bardzo nizkie; przewodnik odgarnął śnieg, zrobił dziurę w dachu, wlazł nią naprzód, poczém wziął z rąk moich Angielkę i wkrótce, jak do trumny, spuściliśmy się do tego ciasnego pomieszkania, którego ściany składały się z czarnych okopconych tarcic, a podłoga z wilgotnéj zgnojonéj ziemi, na któréj widno jeszcze było ślady trzód, które tam zeszłego lata przebywały.

Trudno przewidzieć, coby było bez tego nędznego schronienia stało się z naszą młodą towarzyszką. Po burzy, któréj uszliśmy, nastąpił zimny ze śniegiem pomieszany deszcz, który dużemi kroplami w twarz bijąc, tamował wzrok i widnokrąg nasz tak bardzo ścieśniał, że nawet strzelcowi kóz dzikich tylko urwisko skały za znak do dalszéj drogi służyć mogło. Byłyto ostatki burzy, przeciągającéj nad głowami naszemi. Aczkolwiek Angielka lekką była, wkrótce jednak byłbym nie wydołał nieść ją daléj, a przewodnik nie mógł mnie w tém żadną miarą wyręczyć, bo inaczéj byłby musiał śród saméj drogi zaprzestać kierunku naszą małą karawaną, a co z powodu trudności i grożących nam niebezpieczeństw, wymagało zupełnéj jego uwagi, i jak najwolniejszego, niczém nieutrudnionego ruchu. Walny ten człowiek uczuł to zapewne pierwéj od nas, gdyż zawołał: »Wiém tam jeszcze szałasz!« Przybywszy doń, wysadził drzwi, wyjął je z zawiasów i stroną mniéj wilgotną na ziemi położył. Poczém rozpostarłszy na nich wszystko, co się w moim tłumoczku znajdowało, zwolna na tém posłaniu położyliśmy Angielkę. Milcząc, ale wewnętrzném przenikniony uczuciem podłożył milord rękę pod głowę córki,ażeby na gołém drzewie nie leżała, drugą zaś obsłaniał ją pozostałémi nam jeszcze suchemi sukniami. Felisaz tymczasem wyciągnął z dachu kilka suchych dranic, podłożył pod nie parę ździebeł przypadkiem uzbieranéj słomy, i dobywając krzesiwka, rzekł obracając się do milorda: »Nie bój się pan, teraz nie o zapalenie fajki tu idzie.« Na te przez strzelca wyrzeczone słowa, a nad któremi teoże ani zastanowił się nawet, jak okrutny zawierały wyrzut, żal głęboki zdawał się serce Anglika przenikać. Mocny rumieniec okrył jego lice, zamilkł, ale w spojrzeniu malowało się owo zawstydzenie, które w człowieku sędziwym ma zawsze coś rozrzewniającego. Czytać można było w twarzy milorda, że przebaczyć sobie nie może ostrego z człowiekiem postępowania, któremu życie córki był winien... Już płomień wszczął się na ognisku, przystąpiliśmy bliżéj do niego. Dobroczynne ciepło wracało życie Angielce; piękne jéj lice przybrało znowu zwykłe kolory, członki odzyskały dawną gętkość i stała się lekszą w poruszeniach. Piérwsze jéj wyrazy, pełne podzięki za troskliwość naszę, rozlały powab na całą jéj istotę, a jéj piękność w szczególnym zajaśniała blasku pośród ciemnéj chaty, przy upragnionym, na opuszczoném ognisku palącym się ogniu. U milorda, który córkę swoję za powróconą do życia uważał, szybko przechodziły uczucia od przykréj tęsknoty do najżywszéj radości, i zanim był w stanie przemówić, łzy rzęsiste po policzkach jego pociekły. To córkę, to mnie, to przewodnika ściskał za rękę, a ten w prostocie serca swojego kilkakrotnie powtarzał: »A wszakże mówiłem panu, że to nic.«

Być wystawionym na wielkie niebezpieczeństwo, mieć przez dwie godziny śmierć przed oczyma, nie jestto okupić za uadto drogo takich chwil nieporównanych, w których szczęście znowu rozlewa na nas swoje pełne zapału życie, w których serce przepełnione jest radością, uniesienie jednego porywa drugich, i wszyscy w spólnéj rozpływają się rozkoszy. Zapomnę z czasem nie jednę przygodę, nie jednę radość doznaną w kolei życia, lecz nigdy nie wyjdzie z serca mojego pamięć chwil, spędzonych z trzema obcemi osobami w zadymionym szałaszu, pośród gór lodowych i w ryku srożącéj się burzy!

Przewodnik nasz, ciągle czynny i oględny, porobił wieszary w bliskości ognia, na których mogliśmy suknie nasze wysuszyć. Wkrótce Angielka tak dalece przyszła do siebie, że oświadczyła gotowość swoję iść daléj. Przez dziurę w dachu, którą Felisaz dla utrzymania ognia powiększył, zajaśniał w téj chwili promień słońca. »To znak zimna,« rzecze przewodnik, »ale śnieg nie załamie się. Z resztą mniejsza o to, moje sandały i na kamienie dobre będą.« Rozumiał przez to drewniane podeszwy, które nożykiem swoim dla Angielki wykroił, jéj bowiem zbyt już uszkodzone trzewiki ani wilgoci śniegu, ani skalistéj drogi dłużéj wytrzymać nie mogły. Przygotowując się do dalszéj podróży, przymocował jéj do nóg swoje sandały, i opuściliśmy szałasz, śniegiem zagasiwszy ogień.

Piękny był wieczór, ale piękność jego o ileż jeszcze powiększały chwile, którcśmy właśnie przeżyli! Łagodne światło wieczora jakże odpowiadało owéj wesołości, która po tak smutnych poruszeniach umysły nasze zajmowała! Szliśmy razem, szczęśliwi, że już niczego bać się nam nie należało, będąc ściśle połączeni spomnieniem wspólnego niebezpieczeństwa i wspólnego poświęcenia się. Angielka opiérała się o moje ramię; wyraźnie tego żądał jéj ojciec, gdy uczynić to wahała się z panieńskiéj skromności. Sądziła mieć dla mnie pewne względy,

ja zaś wielce to ceniłem, iż ją dalej prowadzić mogłem. Nie minęło trzy ćwierci godziny, a przebyliśmy śniegi. »Teraz jestem szczęśliwy,« wołał milord w swojej łamanéj francuzczyźnie, »jestem niezmiernie szczęśliwy, i Bogu za to składam dzięki!« A zwracając się do mnie, rzecze: »Jesteś przyjacielem moim mój panie; tyle tylko powiedzieć ci mogę...« Do przewodnika: »Czego chcesz żądaj ode mnie przewodniku, a przez wdzięczność i miłość ku tobie niczego ci nie odmówię. Jesteś walnym, zacnym człowiekiem. Źle o tobie wczoraj sądziłem i robię sobie za to wielkie wyrzuty. Zapal sobie fajeczkę przyjacielu, zrób to z miłości ku mnie.« — »Nie omieszkam uczynić tego,« odrzekł Felisaz i zaczął ognia krzesać.

Z łatwością spuściliśmy się w dolinę, i przed nocą jeszcze stanęliśmy w Sixt. Anglicy zastali tam swoje rzeczy, i mogli przewdziać suknie. Idąc za popędem swojego serca i nie zważając na to, że będąc strudzonymi, wywczasowanie się było dla nich najpierwsza potrzebą, zaprosili mię na wieczerzę. Na końcu téjże przywołano przewodnika; milord wniósł toast na cześć jego, a wsuwając mu kilka dukatów do ręki, dowieść przytém usiłował, że są usługi, które bynajmniéj pieniędzmi, ale szacunkiem tylko i wdzięcznością opłacić się dają...

Nazajutrz rozłączyliśmy się. Dzień ten był dla mnie długi, podróż bez żadnego wdzięku; cóż mam powiedzieć więcéj? trzymałem Angielkę w mojém objęciu; jéj życie, jéj powaby, jéj piękność były czas długi przedmiotem najczulszéj staranności mojéj; potrzebaż było więcéj, aby przez czas niejaki jeszcze uważać za nieprzyjemne te wszystkie miejsca, które jéj bytnością upowabnionémi nie były?!

— Ze Lwowa. —

W drukarni Piotra Pillera jest właśnie pod prasą [illegible]ne i powszechnie cenione dzieło Silvia Pellika: *O obowiązkach ludzi*, przekładu Antoniego Karsnickiego, autora wielu dzieł dramatycznych, z których kilka na scenie naszéj odegranych było, jakoto: *Męga*, *Skąpiec*, *Układ zawczesny*, i *Polka w Niemczech*.

Z Lipska. Mieliśmy to szczęście mieć JP. Karola Lipińskiego przez kilka tygodni w murach naszych. Występując poprzednio w kilku prywatnych zgromadzeniach z mistrzowską grą swoją, zachwycił nas w końcu na publicznym koncercie, który był bardzo licznie odwiedzony. Skoro się tylko pokazał ten mistrz wielki, osypany został najhuczniejszémi oklaskami. Swój wyborny koncert *militaire* wykonał z taką mocą, z taką wielkością i sposobem tak rozczulającym, że zapał słuchaczy wciąż się ponawiając i wciąż wzrastając, w końcu nie ustawał prawie. Jego niedrukowana dotąd, często w Anglii grana fantazyja na ulubione tema z »Lunatyczki« Belliniego, również podobawszy się powszechnie, elektryzowała wszystkie serca. Śmiało z innemi pismami publicznemi powiedzieć możemy: Lipiński jest pierwszym mistrzem na skrzypcach z tych wszystkich, których słyszeliśmy, a dla nas pierwszym skrzypkiem świata. *(Mnem.)*

W Lipsku wydano: *Melitele, Noworocznik na rok* 1837; zebrany przez J. N. Bobrowicza. Jestto niejako ciąg dalszy znanego noworocznika Odyńca i obejmuje płody wielu znakomitych autorów literatury polskiéj.

Polski artysta z Rossyi Kaniewski, ukończył w Rzymie obraz, przedstawiający papieża *in pontificalibus*. Obraz ten do Petersburga przeznaczony, wkrótce tam odesłany będzie.

W Petersburgu, za pozwoleniem rządu, otworzoną wkrótce zostanie tak zwana patryjotyczna loteryja sztuk pięknych, któréj zamiarem jest dać malarzom sposobność widzienia prac swoich wynagrodzonémi, a w ogóle dla ożywienia zamiłowania w sztukach pięknych.

Przedmieście Montfaucon w Paryżu stało się dla Paryżanów przedmiotem osobliwego polowania, to jest: polowania na szczury, któremi to przedmieście przepełnione. Eleganci polują na te szkaradne zwierzęta z wielką namiętnością: z trąbkami, psami, dojeżdżaczami i t. p., a nawet mają do tego swój osobny ubior myśliwski: pąsową kurtkę, aksamitną czapkę, skurzane spodnie i boty ze sztylpami. Ostatnią razą ubito, czyli raczéj spolowano 45,000 szczurów.

Adwokat z kupcem, pokłóciwszy się przy grze w Paryżu w początkach listopada, wyzwali się na pistolety. Nazajutrz stanąwszy do pojedynku, obaj rozebrali się mimo wielkiego i zimnego deszczu. Strzelili do siebie, ale żaden żadnego nie zabił — lecz we 14 dni obaj z przeziębienia pomarli.

Czytamy w piśmie medyjolańskiém *Eoko:* W pewnym sąsiednim kraju rozeszła się podczas wybuchnięcia cholery wieść, że lekarze z bojaźni zarażenia się, nie chcieli chorym lekarskiéj udzielać pomocy. Dla usunięcia powstałéj ztąd trwogi, wychodząca w onym kraju gazeta oświadczyła: że wieść owa jest potwarzą, ponieważ ci wszyscy, co dotąd cholery dostali, przy pomocy lekarskiéj pomarli.

Jestto niezaprzeczoną prawdą, że minnowicie między biegunami często przy najpogodniejszém zupełnie błękitném niebie deszcz pada. Krople jego nie są wprawdzie rzęsiste, ale wielkością przewyższają największe krople, jakie w sferze naszéj, nawet w deszczu pomieszanym z burzą, padać zwykły. O tém osobliwém zjawisku natury wpominają A. Humboldt i kapitan Bechey.

Znany szybkobiegacz Ernest Mensen z Norwegii, przybył d. 17. października do Staréj Orsowy, z podróży przez Konstantynopol do Kalkuty, i odbywał kwarantanę w Xupanku. W podróży téj uszedł w dniach pięćdziesięciu 1.100 mil niemieckich i udaje się teraz przez Peszt i Niemcy do Anglii.

Litografija w Chinach jeszcze r. 952 po narodz. Chrystusa wynalezioną została i od tego ją tam czasu wykonywują.

Bardzo chwalebny zwyczaj panuje w Indyjach wschodnich u kast znakomitych: każda rodzina ma tam w domu swoim pokój, zwany *krodhagara*, to jest: *pokój przeciw złości*. Gdy który z członków rodziny rozgniewa się, lub w złym i zrzędnym jest humorze, tak długo siedzi zamknięty w tym pokoju, dopokąd dobrego humoru nie nabierze.

Lekarstwo na pedogrę. »Jakie jest najlepsze lekarstwo na pedogrę?« zapytał sławnego lekarza Abernethy pewien bogaty próżniak w Londynie. »Najlepszem lekarstwem jest to,« odpowiedział tenże, »gdy człowiek na małém poprzestaje, a i to własnémi zapracuje rękoma.«

Dziesięcioro przykazania dla mnichów z religii Buddha: Założyciel religii Buddha, panującej w znacznéj części Azyi, jakoto: w Tybecie, Mongolii i t. d., napisał dla mnichów następujące dziesięcioro przykazań: Nie jeść mięsa; nie kraść; nie popełniać wszeteczeństwa; wstrzymać się od upajających trunków; nie używać żadnych pachnideł; nie śpiewać (!); nie występować publicznie, ani uczęszczać na publiczne widowiska; nie siedzieć ani leżeć na miękkich poduszkach; strzedz się obżarstwa; złota i srébra nie zbiérać.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.